

Holocaust F

Cezary
Zbierzchowski
Holocaust F



powergraph

Warszawa 2013

Copyright © 2013 by Cezary Zbierchowski
Copyright © 2013 by Powergraph
Copyright © 2013 for the cover by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Michał Cetnarowski
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na I okładce: NWphotoguy
Projekt graficzny serii i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Olesiejuk Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 721 30 00, fax 22 721 30 01
www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl



Wydawca:

Powergraph Sp. z o.o.
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel./fax: 22 834 18 25, 22 834 18 26
powergraph.pl, sklep.powergraph.pl, e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-61187-92-9

Printed in Poland, EU

*Wszystko zaczęło się 14 marca 1980 roku.
Ta książka jest dla Ciebie.*

I W drodze

1. Franciszek Elias III

Zamieszkałem w lesie, albowiem chciałem żyć świadomie, stawiać czoło wyłącznie najbardziej ważkim kwestiom, abym w godzinie śmierci nie odkrył, że nie żyłem. Nie chciałem prowadzić życia, które nim nie jest, wszak życie to taki skarb; nie chciałem też rezygnować z niczego, chyba że było to absolutnie konieczne.

Większość ludzi jest dziwnie niepokorna, czy życie pochodzi od diabła, czy od Boga, i niejako pochopnie wyciągnęła wnioski, że głównym celem człowieka na tym świecie jest chwalić i wielbić Pana oraz wiernie mu służyć. Prowadzimy jednak marne życie mrówek, aczkolwiek bajka utrzymuje, że dawno temu zamieniono nas w ludzi; jak Pigmeje walczyliśmy z żurawiami; jeden błąd po drugim, jeden szturchaniec po drugim, a najwyższą z naszych cnót niepotrzebnie przepaja wielka nikczemność. Trawimy życie na drobiazgach.

Luiza łapie mnie za ramię.

Czuję prąd nagłego strachu, który biegnie przez napięte ciało. Tak jest zawsze, kiedy wmyślam się w swoje notatki i ktoś dotknie mnie bez ostrzeżenia. Nadpobudliwość nerwowa; zaraz zacznę robić idiotyczne miny, niekontrolowane świńskie grymasy.

Jak ja tego syfu nienawidzę.

– Możesz spojrzeć na wewnętrzny ekran? – pyta podenerwowana. – Facet od pięciu minut czeka na połączenie.

– Mówiłem, Lu, że teraz z nikim nie rozmawiam.

– Ale tu chodzi o naszą lotnię. Szef ochrony Elias Electronics chce, żebyśmy natychmiast lądowali, bo na wieży kontrolnej padł ostatni serwer. Podstawili już samochody.

– To lądujemy. Wydad dyspozycje Dawidowi.

– Zadzwoń do twojego ojca?

– Tak, i nie zwracajcie mi głowy.

Prowadzimy marne życie mrówek – pieprzenie! – jak Pigmeje walczymy z żurawiami – nie mogę ustawić połączenia z SII-5L – jeden błąd po drugim, jeden szturchaniec po drugim – ożeż, kurrrrrwa mmać! – trawimy życie na drobiazgach – smarknąłem we własny pamiętnik, w samym środku pisania – życie to taki skarb.

Gmeram przy tym połączeniu, aż wreszcie udaje mi się je ustawić. Komendy konfiguracyjne są bardziej enigmatyczne od tekstu, który wcina się z pamięci długoterminowej. Thoreau nie jest wcale zły, to naprawdę świetny gość, ale nie teraz, nie w tym miejscu, teraz wyprowadza mnie z równowagi. To ma być pamiętnik, a nie S-rzyg z mózgu; i bez podobnych przebieć może się okazać trudny do ogarnięcia, a ja chciałbym stworzyć dokument czasów, w których przyszło nam żyć.

Denerwuje mnie wiele rzeczy, na przykład nadużywanie wulgaryzmów w notatniku, ale właściwie nie mam wyboru. Kiedy byłem dzieckiem, lekarze spierali się, czy występująca u mnie koprolalia to objaw choroby psychicznej, czy uszkodzenie neurologiczne. Ponieważ doszło do tego ciągle kręcenie głową, tiki, trudności z koncentracją i nadekspresywną mimiką twarzy, uznali, że to najprawdopodobniej zespół Tourette’a, i było pozamiatane.

A ja potem pięć razy wymieniałem ciało (jedno syntetyczne, cztery od zresetowanych), ale nigdy nie pozbyłem się tej przykrej przypadłości.

Zasranej przypadłości.

— Raczej zabawnej — mówi Luiza, wyskakując z lotni. Właśnie wylądowaliśmy na betonowym skwerku i biegniemy do granatowego bentleya (chińsko-niemiecki sześcioosobowy Phantom Town Car).

— Zabawnej? A pamiętasz, jak na pierwszym spotkaniu plulem na podłogę jak kretyn?

— Pamiętam. No i co z tego? Jesteś przecież ekscentrycznym miliarderem.

Aha.

Siadamy na białej kanapie samochodu, układamy dzieciaki do snu. Nie jestem, kurwa, żadnym ekscentrycznym miliarderem (nie z tego powodu przeklinam). Myślę, że to kompulsja, podobnie jak bezsensowne krążenie po domu, kiedy jestem sam. W każdym razie to gównu nie siedzi w rdzeniu kręgowym ani w obwodowym układzie nerwowym, tylko w moim mózgu, i nikt go stamtąd nie wyciągnie. Musiałbym się przeładować do innej kołyski, ale to nic pewnego, za duże ryzyko w tych czasach i nie opłaca się przed końcem świata robić takich fikołków. Tak już musi zostać; przeżyłem, obdarzony wątpliwym urokiem żuła, ponad sto dwadzieścia lat. Mogę przeżyć jeszcze kilka, a stara dobra Lorelei na pewno mi w tym pomoże.

Wjeżdżamy na obwodnicę. Właśnie zdałem sobie sprawę, że zostałem cradlerem niemal równo sto lat temu. Od tamtego czasu umierałem kilka razy – na własne życzenie lub przypadkiem – i zawsze jakoś udawało mi się wrócić. Wiem, że choć istnieją inne światy, nie istnieje „tamten świat”. Kiedy więc ktoś zaczyna snuć wywody o życiu po śmierci, mam ochotę zadusić go gołymi rękami. Niech się sam przekona (choć przekonać się nie może, jeśli nie jest jednym z nas). Człowiek pierwotny niczego nie zobaczy, a nie słyszałem, żeby cradler opowiadał podobne bzdury. No i to jest właśnie jeden z absurdów naszego życia.

— Ale i tak je kochasz, prawda? — dopytuje Lu.

— Nieładnie tak podglądać. — Szczypię ją w udo.

Luiza ma podgląd *on-line* wszystkiego, również osobistego schowka, pozwoliłem jej na to w przypiływie słabości. Siedzimy na serwerze SII-5L, należącym do VoidWorks i zabezpieczonym jak skarbiec Banku Centralnego; nikt niepowołany do niego nie wejdzie. Po usunięciu wszystkich tajemnic handlowych i rodzinnych, po gruntownym przeredagowaniu tekstu, kiedy nic już nie zostanie z moich wspomnień, może zdecyduje się je upublicznić. Oby tylko wtedy miał je kto czytać.

Jedziemy z Luizą i dziećmi do Zamku. Opuściliśmy Ramkę około dwudziestej, pół godziny po tym, jak ojciec dostał cynk od Blumfelda o zbliżającym się zagrożeniu. Właściwie o dwóch zagrożeniach: wracającym po raz szósty H.O.D. i nowej ofensywie Szarańczy, której armia może nie powstrzymać. Za dużo wampirów kręci się po okolicy, za dużo ścierwa. Dla mnie śmierć to nic nowego, Luiza w ogóle nie umrze, ale boję się o dzieci. Nie zasłużyły na to, żeby trafić w ręce zawirusowanych spamerów Synergii. Oni potrafią atakować nawet ludzi bez gniazd i tylko po to, żeby zniszczyć życie.

SI kierujące oddziałami Death Angel rzuciły do walki wszystkie siły, ale Szarańcza infekuje codziennie tylu nowych, że nasze superkomputery równie dobrze mogłyby robić szalik na drutach. Efekt będzie identyczny. Coś stało się w Sztapie Generalnym – nie bardzo wiadomo co. Pewnie część wojskowych przeszła znowu na stronę partyzantów.

Leciliśmy wcześniej traumolotem (nienawidzę pieprzonych lotni i antypola), ale padł System Kontroli Lotów i przesiedliśmy się do limuzyny. Trzy opancerzone samochody ruszyły autostradą do Seegardu. Czarny wóz Security Corps jedzie przed bentleyem, drugi ubezpiecza tyły. Chłopaki z Oddziałów Specjalnych Elias Electronics Ltd. od początku wojny przewieźli tyle cennych ładunków, że chyba dotrzemy w jednym kawałku. To około czterystu pięćdziesięciu kilometrów, rzut beretem od Seegardu, nasza rodowa posiadłość. Zamek wznosi się na wzgórzu Radec, skąd roztacza się widok na rezerwat i stuhektarowe

ranczo. Teren jest ogrodzony drutem pod napięciem, wysokim na trzy metry, a podzamcze i dziedziniec umocnione są jak wojskowy bunkier; obsadza je prawie pół tysiąca ludzi. Zapraszamy nieproszonych gości.

Teoretycznie mogliśmy schronić się pod Rammą, na terenie któregoś z zakładów. Stacjonują tam prawdziwe armie, które będą bronić maszyn (i przy okazji swoich rodzin) do upadłego, ale Junior słusznie zauważył, że istnieje niebezpieczeństwo wybuchu magazynów, więc lepiej zaryzykować podróż do Zamku. Wkrótce przy Wielkich Rozjazdach dołączymy do konwoju z północy, którym jedzie ojciec z Juniorem i zarządem EE. Anton jest ode mnie starszy o trzy lata, a „Juniora” odziedziczył po ojcu. Ja trafiłem jeszcze gorzej, jestem Franciszek Elias III (po dziadku i pradziadku, twórcach Elias Electronics). Trzeci Franciszek – pożałowania godny brak wyobraźni przy wybieraniu imion dla potomstwa. Moim zdaniem to вина matki (świeć Nieobecny Panie nad jej nieistniejącą duszą). Imię jednak nie jest najważniejsze, podobnie jak ciało. Najważniejsze, że pochodzimy z tych Eliasów.

Jesteśmy familijną gigakorporacją, od początku wojny zarobiliśmy brutto dwa miliardy ECU, czyli ponad siedem miliardów wianów. A ja od początku podróży wypieprzyłem już z VoidWorks trzydziestu ludzi i szef związków zawodowych nawet nie pisał. Mieli zapisany w kontrakcie zakaz korzystania z bezpośrednich łącz Synergii i nie przyjęli pomocy medycznej w usunięciu gniazd. O dwudziestą upłynął termin. Nie mogłem dłużej czekać, aż mi się któryś podłączy i zacznie świrować na terenie zakładu. Nasza konserwatywna polityka, z której śmiało się tyłu szefów innych firm, nasza decyzja, by wyeliminować z zespołu ludzi z aidami (krytykowana przez Rzecznika Praw Obywatelskich, dopóki go nie wymieniliśmy), okazała się jedynym słusznym rozwiązaniem. Zwiększone możliwości rozwoju, które oferowało bezpośrednie połączenie z siecią, nie bilansowały się w żaden sposób ze skalą zagrożeń: psychozami wiruso-

wymi typu S, szpiegostwem przemysłowym, uzależnieniem od wirtualnych kreatorów decyzyjnych, autyzmem odstawiennym, i tak dalej. Przekonałem ojca, żeby wprowadzić odpowiednie klauzule do kontraktów, a ludzi już zatrudnionych namawiać do operacji albo wywalać z naganą w papierach. I jestem z tego dumny. Nikt z rodziny Eliasów ani z jej najbliższego otoczenia nie ma prawa choćby otrzeć się o Synergię.

— Nie przesadzałabym z tą czystością — zauważyła leniwie Luiza. — Bycie cradlerem to trochę większa ekstrawagancja niż założenie sobie gniazda. Nie mówiąc o mnie. — Uśmiecha się pod nosem.

Lu ma rację. Ale też nie powiedziałem, że głosimy powrót człowieka do dzikiej natury. Stopień cyborgizacji rodziny to jedno, a wystawianie się na pastwę rozpieprzonych aidów i ładowanych bezpośrednio do mózgu hackerskich ekskrementów to co innego. Kołyska jest odcięta od otoczenia w sposób niemal doskonały, bezprzewodowe połączenie z Synetem II nie powoduje nadpisywania jej zawartości, można krążyć po sieci bez żadnych upgradów. Podobnie rzecz się ma z elektronicznym mózgiem Luizy. Możliwość zainfekowania nas jest mniejsza niż w przypadku człowieka w stanie pierwotnym, bo mamy złożone biozapory na pasożyty atakujące komórki nerwowe.

Kołyskę ma w rodzinie siedem osób: ojciec, Anton i Marina (nasza siostra), wuj Carter i jego druga żona Kler, ich córka Inka oraz ja. Dodatkowe usprawnienia robiliśmy przy niektórych ciach (głównie Anton), ale to rzecz nietrwała. To, że wizualnie i na poziomie DNA nie jesteśmy tacy jak kiedyś, było na początku trudne do zaakceptowania, ale z wiekiem człowiek przywyka do wszystkiego. Pamiętam jeszcze Antona jako chudego blondyna z postawioną do góry czupryną – teraz jest ciemnoskórym zwalistym facetem o fenotypie Remarczyka z Południa. Trochę mnie kosztowało przyzwyczajenie się do tego, ale czego się nie robi dla ukochanego brata, z którym napażałem się w dzieciństwie

o każdy samochodzik. Miał widać swoje powody, że wybrał taką skorupę.

Patrzę na Iana i Emilię. Dzieciaki chrapią na kanapie naprzeciwko nas. Jeśli uda się przetrzymać koniec świata, musimy jak najszybciej zapuszkować im mózgi, gdy tylko lekarze stwierdzą zatrzymanie wzrostu (mniej więcej za piętnaście lat). Uniezależnienie się od śmierci – przynajmniej częściowe – otwiera inną perspektywę, daje więcej czasu i więcej pewności, zmniejsza wpływ fatalizmu, który rozszalał się po Roku Zero. Czasem mam wrażenie, że choćbyśmy pękli, stanie się to, do czego dąży program świata. Brakuje tej zmienności, która występowała, zanim odszedł Bóg. Dlatego na wszelki wypadek lepiej mieć pod ręką reinkarnator EE. Wiem, co mówię, już umierałem.

Takich jak my, cradlerów, jest na ziemi niewiele, szacuje się, że około piętnastu–osiemnastu tysięcy. Kołyska kosztuje kilka milionów wianów, tyle co dziesięć okazałych domów. Jej instalacja, właściwe oprogramowanie i dalsza obsługa to kolejnych parę baniek (że o kosztach zabiegu w reinkarnatorze nie wspomnę). Dlatego to zabawa dla elit; masy ładują sobie do czaszki chińskie synergiczne usprawniacze oraz japońskie i amerykańskie podróbki. Nam kołyski zapewniały przez dziesięciolecia spokojny bieg długodystansowca, im gniazda umilają sprint: feerią barw i wrażeniem, że wszystko można zdobyć. To jednak tylko wrażenie. Przeładowanie informacją nikomu jeszcze nie otworzyło drzwi do raju.

Cradlerów jest mało, za to takich dziewczyn jak Luiza nie ma wcale; są tylko zbliżone parametrami. Stwarzaliśmy ją przez kilka lat, wykorzystując badania prowadzone na potrzeby wojska. Chociaż Blumfeld siedział nam na karku, laboratoria VoidWorks, które od dekady produkowały androidy bojowe, dla mnie przypomniały sobie, że zaczynaliśmy od najlepszych *lovedoll* na świecie. Sam projektowałem jej twarz, ustalałem parametry sylwetki, odruchy emocjonalne, motorykę i temperament. Wprowadziliśmy też element losowości, żeby dodać

trochę pieprzu. Mogłem stworzyć dziewczynę ze snów, mogłem zrobić z niej eteryczną elfkę albo demona, który nie rozstaje się z pejczem. Mogłem ustalić, jak szybko ma się uczyć i czy pod tym względem przeskoczy kiedyś swojego pana.

Byłem szlachetnym demiurgiem i dałem jej wszystko co najlepsze – zaryzykowałem nawet eksperymentalny symulator wolnej woli.

- Mam nadzieję, że mnie słyszysz, Lu?
- Słyszę, Franciszku, mój ty mężczyzno idealny.
- I oczywiście to doceniasz.
- Każdego dnia. Poza chwilami, kiedy ładuję baterie.

Lubię złośliwość Luizy. Zaślepiłbym się bez tego, zapadł na kołyskowy paraliż. Ona robi dziurki w mojej puszcze, wietrzy mi głowę i kiedy trzeba, daje kopa w tyłek.

Franciszek Elias III będzie pierwszym z rodu, który pojmie za żonę stuprocentowego androida.

2. Babilon rulez

Ten cały bałagan, podniesiona do kwadratu Apokalipsa świętego Jana, która, prawdę mówiąc, nie przypomina nawet wojny (żadnego frontu, tylko metaliczne kule i tysiące ognisk walk płonących na całej planecie), miała przecież niewinne początki. Reklamy o polepszeniu pamięci i koncentracji, nauce bez wysiłku, osiągnięciu życiowych celów bez stresu. Promocja przyjemności na zawołanie, wypoczynek VR, cudowne sposoby na zmęczenie i ból. Magiczne zaklęcia zaczynające się od neuro- i nano-, a zakończone „synergiczną współpracą milionów umysłów”.

Obserwując to, najpierw nie wierzyliśmy, że ludzie z radością pozwolą się wyssać od środka, jak małże. Ale wtedy nie rozumieliśmy jeszcze, co naprawdę oznacza Rok Zero, nie mieliśmy pojęcia o wpływie plazmatu na nasz rozwój jako gatunku.

Konwój pędzi autostradą nieniepokoiony przez nikogo. Jedziemy dwieście na godzinę, wyprzedzamy cywilne i wojskowe pojazdy; chłopaki z przodu włączyły światła ostrzegawcze. Dawid przesyła na konsole mijanych patroli informację VIP. Do innych kierowców śle komunikat „Zwolnić drogę” i automaty posłusznie zjeżdżają na wolniejsze pasy. Gdy opuszczaliśmy Miasto, jakiś cwaniak w błękitnym chevrolecie próbował się

z nami ściągać, ale dostał ostrzeżenie, że za chwilę przestrzelimy mu opony. I odpuścić. Na wszelki wypadek nie patrzę za okno, dostaję informacje z drugiej ręki. Nie zaglądam w szyby mijających samochodów, żeby nie zobaczyć twarzy wykrzywionych przez skurcze wirusowe. Autami coraz częściej jeżdżą żywe trupy; gdyby nie autopiloty, mielibyśmy tu jeden wielki zaszary karambol.

Patrząc w oczy tym ludziom, zobaczyłbym mgiełkę Babilonu, który odciska na twarzach swoje logo, wszędo-byłski trademark – kiedyś koniom i bydłu wypalano na skórze znak właściciela. Za uchem błyszczą gniazda, w głowie totalna sieczka powstająca z synergicznej wymiany plików. Spełnili marzenia konstruktorów nowej sieci: P2P dla wiedzy, P2P dla wspomnień, P2P dla emocji. Możesz się wymieniać swoimi myślami pod postacią plików S, kiedy tylko zapragniesz. Zapisujesz, konwertujesz, udostępniasz. Czy może być coś mocniej łączącego człowieka z człowiekiem? Czy może istnieć większa integracja?

Wirują memy: P2P dla religijnych objawień, kulturowych tabu, lęków i pragnień, szlachetnych porwywów i zbrodni. Rammańczyk może być Indianinem z Amazonii, Chińczyk może się stać Zulusem, Skandynawia zbliżyła się do Australii na szerokość strumienia emisji. Bezpośrednia wymiana wszystkiego.

A my nie wierzyliśmy.

Nie zrobiliśmy nic, by dwadzieścia lat temu powstrzymać wejście na rynek Babilonu, pierwszej platformy S-plików. Ojciec nas usprawiedliwia, twierdzi, że nawet gdybyśmy zareagowali, zlecili ekspresowe przygotowanie prawnych blokad w Lidze Narodów lub nastali na konstruktorów Synergii płatnych morderców, nic by się nie zmieniło. Nie mogło się zmienić, ludzkość straciła hamulce, runęła w przepaść własnych pragnień, których nie ogranicza już nic poza kasą. Po Roku Zero uwolniła cały swój potencjał; mogła sięgnąć gwiazd, a sięgnęła gwiazdek, waląc czołem o twarde podłoże. Kilkadziesiąt lat nieustannego doskonalenia się w harakiri.

Teraz możemy zapomnieć o wszystkim. Trzy lata temu jakaś kropla przepełniła czarę. Nie wiemy, czy był to skutek nieubłaganej logiki nowego świata, czy za wirusem od początku stał ekstremizm, pragnący uczynić z nas wszystkich Narod Wybrany, a potem zgładzić go jego własnymi świętymi rękami. To, co media nazwały sto lat temu Nowym Holocaustem, trwa wciąż, i to w formie rozdętej w tak kurewski sposób, że tylko odcięcie wszystkiego, co chore, może jeszcze uratować świat. Obawiam się jednak, że nie wystarczy na to pieniędzy i determinacji, i że największe rodziny, mafie i korporacje (podobne do siebie jak dwie krople wody) nie dadzą już rady powstrzymać szaleństwa. Za późno zaczęliśmy czyścić, za późno wysłaliśmy H.O.D. w przestrzeń, żeby znaleźć inne miejsce do życia: nieskażone nano i nieopętane demonem sieciowej Wspólnoty.

Czuje, że Dawid zaczyna hamować. Przestaję wizualizować myśli; notatki bledną na siatkówce, żeby ustąpić miejsca widokowi Wielkich Rozjazdów. Po prawej, oświetlone ostatnimi promieniami słońca, sterczą rozwalone estakady autostrady A4, która w tym miejscu przecina się z A1. Węzeł obejmuje jeszcze trzy krajówki i płataninę dróg lokalnych. Czego tu nie ma. Na ziemi i nad ziemią, a najwięcej pod jej powierzchnią: supermarkety, kompleksy relaksacyjne i kina VR, stacje ogniwo napędowych (w tym przejeżdża przez nas stacja sieci Ciril), windy w górę i windy w dół, serwisy naprawcze i dziesiątki jadłodajni. Wszystko wisi na platformach, ciągnie się przy nitkach dróg, świeci neonami w gęstniejącym mroku, zaprasza do podziemnych kompleksów, pulsuje i krzyczy rozpaczliwie, że świat jest w porządku. Ale to nieprawda. Wokół można dostrzec ślady walk, które toczyły się tutaj zaledwie tydzień temu. Wypalone mury, ślepe okna, wraki samochodów porzucane na poboczach, kikuty drzew, które zdają się jeszcze dymić. Na drodze ciemniejsze plamy świeżo połatanych dziur. Armia i rząd zrobiły wszystko, by uratować ten węzeł; wiem od Antona (a on od człowieka Blumfelda), że w okolicy przypieprzyli kilkudziesięcioma

bombami chemicznymi powodującymi rozpad krwi u wampirów, zabijając przy okazji ponad dwustu cywilów z katalizatorami. Logika wojny: nie było wyboru. Zmiotli z powierzchni Ziemi duży oddział partyzantów, a straty własne wliczyli w cenę. Wielkie Rozjazdy zostały uratowane i obsadzone przez pułk piechoty Death Angel pułkownika Szarego.

Na parkingu dla transporterów, na zapleczu stacji paliw stoją cztery samochody drugiego konwoju. Dwie limuzyny: mercedes i przedłużony maybach Landaulet+, jeep Oddziału Specjalnego Security Corps (faceci w inteligentnych hełmach i lekkich pancerzach) oraz limuzyna ochroniarzy podobna do naszej. Dawid parkuje przy maybachu, a podróżujący w nim ojciec opuszcza przyciemnianą szybę. Jest dziewiętnastoletnim piegowatym gówniarzem – reinkarnacja dwa lata temu, wybór ciała raczej konserwatywny. Bardzo przypomina zadziornego chłopaka w stroju seegardzkiego *college'u*, którego widziałem na zdjęciach sprzed półtora wieku. W głębi samochodu miga śniada twarz Antona. Są z nimi także Juki, szef biura prawnego Elias Electronics, Chloe, sekretarka Antona, i zapewne Janca, asystentka i kochanka ojca. Nie dostrzegam jej, ale to niemożliwe, by podróżowała mercedesem z resztą zarządu EE.

— Jak maluchy? — pyta ojciec śmiesznym, piskliwym głosem.

— W porządku, śpią od samej Rammy. — Mrugam w nerwowym tiku. — Podróż upłynęła nam spokojnie, żadnej artylerii ani samobójczych lotni. Nadzieja rośnie we mnie wykładniczo.

— Na A4 też nie było źle. Przez dwie godziny chłopaki zepchnęły do rowu tylko jakiegoś popaprańca w vanie i ktoś ostrzelał za nami drogę z lekkiej broni. Ale na Południu może być gorzej, trzeba będzie uważać na wszystko. Brendan, szef OS-ów, przejmuje od tej chwili dowodzenie kolumną.

— Lu, kochanie, pokaż swoją ładną buzię! — drze się z wnętrza samochodu Anton. W mroku błyskają jego białe zęby.

— To nie jest zabawka, czarnuchu. — Tak sobie miło żartujemy.